

Peter W. Zapffe

Ostatni Mesjasz

Analiza i Egzystencja 21, 5-19

2013

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

PETER W. ZAPFFÉ*

* Peter Wessel Zapffé (ur. 18 grudnia 1899 w Tromsø, zm. 12 października 1990 r. w Asker) to norweski pisarz, filozof i alpinista. Studiował prawo na Uniwersytecie w Oslo. Podczas pobytu w stolicy rozpoczął naukę wspinaczki, podczas której poznał Arne Næss, mającego w późniejszym czasie stać się jednym z najbardziej wpływowych norweskich filozofów. Z biegiem czasu znajomość rozwinęła się w zażyłą przyjaźń, której podwaliną stały się łączące obydwu pasje, jakimi były filozofia i wspinaczka górską. W 1923 r. zdaje egzamin prawniczy (jako ciekawostkę można podać, że część rozprawy egzaminacyjnej została napisana wierszem), po czym wraca do rodzinnego, leżącego poza kołem podbiegunowym miasta Tromsø, gdzie przez okres pięciu lat pracuje w zawodzie prawnika. W międzyczasie czynnie uprawia wspinaczkę, dokonując wejść na wiele z dziewiczych szczytów na północy Norwegii. Uczestniczy w dwóch wyprawach polarnych. Po kilku latach spędzonych w Tromsø decyduje się na przerwanie kariery prawniczej. Przenosi się na stałe do Oslo, gdzie podejmuje studia literaturoznawcze. W roku 1933 powstaje krótki esej noszący tytuł *Ostatni Mesjasz*. Idee w nim zawarte zostają w późniejszym czasie rozwinięte, czego rezultatem jest opublikowana w 1941 r. rozprawa doktorska *O tragizmie*. Owo liczące ponad 600 stron dzieło miało być początkowo rozprawą napisaną w celu uzyskania tytułu magistra literaturoznawstwa, jednakże jeden z jej recenzentów doradził autorowi, aby przedłożył ją fakultetowi filozoficznemu jako rozprawę doktorską. Tak też się stało i na jej podstawie Zapffé uzyskuje tytuł doktora filozofii. Filozofia Zapffego pozostaje pod wpływem poglądów filozoficznych Artura Schopenhauera i Fryderyka Nietzschego. Jednakże głównym źródłem inspiracji filozofii egzystencjalnej Norwega były prace estońskiego biologa Jakoba von Uexküll, twórcy pojęcia Umwelt, które posłużyły mu do wypracowania własnej metody filozoficznej, nazwanej przez niego metodą biofizyczną. W ogólnym zarysie polegała ona na rozpatrywaniu egzystencji człowieka z punktu widzenia biologii. Biofizyka Zapffego koncentruje się na studiowaniu człowieka z punktu widzenia biologii (natury), w przeciwieństwie do antropozofii, która koncentruje się na studiowaniu biologii (natury) z punktu widzenia człowieka.

OSTATNI MESJASZ**

I

Pewnej nocy, w dawno już minionych czasach, człowiek zbudził się i *ujrzał siebie samego*.

Dostrzegł, że znajdował się nagi pod kopułą kosmosu, był bezdomny w swoim własnym ciele. Wszystko rozpadało się pod wpływem jego badawczej myśli. Cud za cudem, zgroza za zgrozą pojawiały się w jego umyśle.

Wtedy zbudziła się kobieta i rzekła, że nadszedł już czas, aby wybrać się na polowanie. Mężczyzna chwycił za łuk – owoc małżeństwa ducha i dłoni – i ruszył w mrok gwiaździstego nieba. Jednakże gdy zwierzęta zbliżyły się do wodopoju, przy którym od dawna miał zwyczaj na nie wyczekiwać, nie poczuł już więcej w swej krwi skoku tygrysa, a jedynie wielki psalm o braterstwie cierpienia między wszystkim, co żyje.

Tego dnia nie powrócił do domu ze zdobyczą, a gdy znaleziono go następnego nowiu, siedział martwy przy wodopoju.

II

Cóż takiego się stało? Wyłom w samej jedności życia, biologiczny paradoks, potworność, absurd, hipertrofia katastrofalnej natury. Życie wystrzeliło ponad swój cel i rozsadziło samo siebie. Pewien gatunek został uzbrojony nazbyt dobrze, duch stał się wszechpotężny i zarazem niebezpieczny dla samego siebie. Jego broń była jak miecz bez rękojęści, klinga o dwóch ostrzach tnąca wszystko wokół siebie; a ten, kto chciałby się nią posługiwać, musiałby złapać za miecz i zwrócić jedno z ostrzy w kierunku samego siebie.

Pomimo swego nowego spojrzenia, człowiek nadal pozostawał zakorzeniony w materii, dusza wciąż była nią spowita i podlegała jej ślepym

** Przekład na podstawie norweskiego wydania *Den sidste Messias*, [w:] Peter W. Zapffe, *Essays*, Oslo: Aventure Forlag AS 1992, s. 15–29. Tekst pierwotnie opublikowany w 1933 r. posiada przekład angielski *The Last Messiah*, przeł. Gisle Tangenes, „Philosophy Now” 45 (2004). Przekład publikowany za zgodą fundacji „Berit og Peter Wessel Zapffes fond” posiadającej prawa autorskie do spuścizny Zapffego.

prawom. Ale człowiek zdołał jednocześnie spojrzeć na materię jako na coś mu obcego, zyskał zdolność przyrównania się do innych fenomenów, przejrzania i zlokalizowania własnych procesów witalnych. Staje teraz w obliczu natury jako nieproszony gość, daremnie wyciąga ku niej dłoń w błagalnym geście o ponowne złączenie z tym, co go stworzyło. Natura nie odpowiada – uczyniła człowieka największym cudem i od tego czasu zapomniała o jego istnieniu. Człowiek utracił swe prawo do zamieszkiwania w przybytkach kosmosu, zasmakował owocu z drzewa poznania dobra i zła i został za to wypędzony z Raju. Umiejscowiony pośród otaczającego go świata, stał się czymś potężnym, jednakże przeklina teraz swą moc, ponieważ okupił ją za cenę harmonii swej duszy, zapłacił utratą niewinności i spokoju, którego zaznawał, będąc wtulonym w objęcia życia.

Stoi teraz samotnie, pełen własnych wizji, zdradzony przez wszechświat, zdziwiony i załęczniony. Również zwierzę odczuwa strach przed hukami grzmotu i na widok pazurów lwa. Jednakże człowiek przeraził się samego życia – zaiste przeraził się swej własnej istoty. Dla zwierzęcia życie oznacza odczuwanie gry sił, popędu płciowego, zabawę, walkę i głód, a kończy się podporządkowaniem się jarzmu prawa konieczności. U zwierzęcia cierpienie ogranicza się do siebie samego, natomiast u człowieka przebija się ono aż do rozpacz i lęku, jaki wywołuje w nim świat. Już od zarania wędrówki dziecka po rzece życia daje się słyszeć odgłos wodospadu śmierci, grzmiący donośnie ponad doliną, coraz to bliższy i bliższy, nadżerający dziecięcą radość. Człowiek spogląda na ziemię oddychającą niczym wielkie płuco; wydech i życie wytryska ze wszystkich porów, wyciągając dłoń ku słońcu, wdech i daje się słyszeć jęk rozłamu rozlegający się w rojowisku życia, trupy chłoszczą ziemię niczym spadający grad. Człowiek dostrzega nie tylko swoją własną zorzę, ale i cmentarze pękające w szwach na jego oczach, lament zamierzchłych tysiącleci, wyjących ku niemu ustami odrażająco rozłożonych trupów, widzi upadłe w ziemię sny matek. Kurtyna przyszłości zostaje zerwana, odsłaniając koszmar nieustannych powtórzeń, pozbawione rozsądku trwonienie materiału organicznego. Poprzez wrota litości wkracza w niego cierpienie milionów istnień ludzkich, zewsząd dobiega szyderyczy śmiech naigrywający się z pragnienia sprawiedliwości, najważniejszej dla niego zasady porządku. Widzi samego siebie powstającego w łonie matki, trzyma dłoń wzniesioną ku górze i widzi jej pięć odgałęzień. Skąd pochodzi ta diabelska liczba pięć i co ma ona wspólnego z moją duszą? Sam dla siebie nie jest już czymś oczywistym, w największym przerażeniu dotyka

własnego ciała: tym właśnie jesteś i niczym więcej. W jego wnętrzu tkwi posiłek – jeszcze wczoraj było to hasające zwierzę, a teraz wsysam je, czyniąc częścią samego siebie. Więc gdzie się zaczynam, a gdzie kończę? Rzeczy łączą się ze sobą w postaci łańcucha przyczyn i skutków, a wszystko, co człowiek próbuje uchwycić, rozwiązuje się pod wpływem jego badawczej myśli. Wkrótce dostrzeżę mechanikę nawet w tym, co wcześniej było mu drogie i kochane – w uśmiechu swych bliskich (są przecież i inne uśmiechy), stanowiącym rozerwane trzewiki z wystającymi palcami. W końcu cechy przedmiotów są jedynie właściwościami niego samego. Nic nie istnieje samoczynnie, wszystkie linie wracają ku niemu, świat jest tylko widmowym echem jego własnego głosu – biegnie, głośno krzycząc, i pragnąłby zwymiotować sobą samym wraz ze swym nieczystym posiłkiem, czuje, że nadciąga szaleństwo, i pragnie śmierci, zanim jeszcze straci zdolność odebrania sobie życia.

Ale gdy stoi już w obliczu nadciągającej śmierci, tuż przed ostatnim krokiem, jakiego chce dokonać, zaczyna pojmować istotę i kosmiczną wagę samego czynu. Jego twórcza fantazja kreuje nowe, straszliwe możliwości czyhające poza kurtyną śmierci i nagle pojmuje, że nawet w niej nie można znaleźć jakiegokolwiek schronienia. W tej chwili dostrzeżę zarysy swego kosmiczno-biologicznego położenia: jest bezbronnym więźniem kosmosu, przetrzymywanym w nim, aby stać się ofiarą bezmiennych ewentualności.

Od tej chwili znajduje się w stanie nieustannej paniki.

Tego typu *uczucie kosmicznej paniki* jest kulminacyjnym fenomenem pojawiającym się w umyśle każdego człowieka. Wydaje się, że gatunek zostaje skazany na zagładę w momencie, gdy wszelka efektywna działalność mająca na celu zachowanie i przedłużenie życia zostaje zahamowana, a cała uwaga i energia jednostki skupia się na powstrzymaniu albo zniesieniu owego katastrofalnego napięcia tkwiącego w jej wnętrzu.

Zjawisko polegające na tym, że pewien gatunek poprzez hipertrofię pewnej zdolności staje się niedostosowany do wymogów stawianych mu przez środowisko, jest tragedią dotykającą nie tylko człowieka. Na przykład, uważa się, że dotyczyła ona również pewnego gatunku kopalnego jelenia, który wymarł z powodu wykształcenia nazbyt okazałego poroża. Mutacje genetyczne należy zatem uznać za ślepe, ponieważ zachodzą one bez żadnego celowego związku z wymogami, jakie stawia środowisko.

W stanach depresyjnych umysł można przyrównać właśnie do takiego poroża, które swym fantastycznym splendorem przygniata do ziemi dźwigającego je na głowie osobnika.

III

Dlaczego zatem ludzkość nie wymarła już dawno temu podczas wielkich epidemii szaleństwa? Co jest powodem, że tylko nieznaczna liczba jednostek ginie, nie mogąc znieść ciężaru życia – nałożonego im przez zdolność poznania, która obarcza je większym ciężarem, niż są w stanie udźwignąć?

Zarówno historia kultury, jak i obserwacja nas samych oraz innych dają podstawę ku wysunięciu następującej tezy: większość ludzi uczy się ratować siebie samych poprzez sztuczne zredukowanie zawartości swej świadomości.

Jeśli jeleni olbrzymi zdołalby w odpowiednich odstępach czasu łamać zewnętrzne odgałęzienia poroża, być może udałoby mu się przetrwać przez jeszcze pewien czas. W gorączce i nieustannym bólu, z pewnością zdradzając swoją przewodnią ideę, występując przeciwko jądro swej istoty, otrzymał od natury powołanie, aby być *rogaczem* ponad wszystkie inne stworzenia ziemi. Gatunek, zyskując na przedłużeniu życia, straciłby na jego znaczeniu, utraciłby na wzmożeniu swych sił życiowych, innymi słowy – zdobyłby przedłużenie bez nadziei, nie marsz *w stronę* afirmacji siebie samego, lecz pochód przez nieustanie afirmujące się ruiny – autodestrukcyjny wyścig ze świętą wolą krwi.

Tożsamość zachodząca między celem życia a zagładą jest zarówno dla jelenia olbrzymiego, jak i dla człowieka tragicznym paradoksem życia. W pełnym oddania *Bejahung* [przyzwoleniu] ostatni z *Cervus giganticus* dźwigał oręż swego gatunku, aż do momentu nastąpienia ostatecznej katastrofy. Inaczej dzieje się z człowiekiem, który ratuje siebie samego i kontynuuje istnienie – dokonuje, mniej lub bardziej zdając sobie z tego sprawę, procesu *wyparcia* nadmiaru szkodliwej nadwyżki świadomości. Owo zjawisko, tak długo, jak jesteśmy przytomni i aktywni, zachodzi praktycznie nieprzerwanie i jest warunkiem możliwości przystosowania społecznego oraz podstawą zjawiska popularnie zwanego normalnym i zdrowym biegiem życia.

Psychiatria nadal wychodzi z założenia, że to, co „zdrowe” i sprzyjające życiu, jest tożsamy z największym dobrem człowieka. Depresja, „trwoga przed życiem”, odmowa przyjmowania pokarmów itp. to bez wyjątków oznaki patologii i choroby, którą należy poddać leczeniu. Natomiast w wielu przypadkach jest tak, że owe fenomeny stanowią właśnie przesłanie pochodzące z głębszych i bardziej bezpośrednich pokładów życia, przesłanie będące gorzkim owocem geniuszu uczuć i myśli. Przez to stają się one źródłem tendencji antybiologicznych. To nie dusza jest chora, lecz osłona zawodzi albo też zostaje odrzucona, ponieważ zostaje ona – zresztą słusznie – uznana za sprzeniewierzenie wobec najwyższej zdolności, jaką dysponuje nasze ego.

Całość życia, jakie obecnie możemy obserwować, jest zarówno na płaszczyźnie społecznej, jak i indywidualnej na wskroś przesiąknięta mechanizmami wyparcia; możemy je wysledzić nawet w najbardziej prozaicznych przejawach życia codziennego. Procesy te tworzą złożoną i nieprzejrzystą wielość fenomenów, choć uprawomocnione wydaje się wyróżnienie czterech głównych typów (naturalnie występujących we wszelkich możliwych kombinacjach). Są nimi: izolacja, zakotwiczenie, rozproszenie i sublimacja.

Izolację definiuję jako mechanizm dowolnego rodzaju wyparcia ze świadomości przeszkadzających i destrukcyjnych myśli i uczuć. (Engström: nie powinno się myśleć, to tylko pogarsza sprawę.) Zjawisko to, w formie dojrzałej i nieomal brutalnej, można zaobserwować u niektórych lekarzy, którzy w celu obrony własnej integralności dostrzegają jedynie techniczną stronę wykonywanej przez siebie profesji. Izolacja może także przybrać formę bardziej prymitywną, jak ma to miejsce w przypadku przestępców i studentów medycyny, którzy wszelką wrażliwość na tragiczne strony życia próbują wytepić za pomocą najbrutalniejszych środków (gra w piłkę trupa czaszką itp.).

W codziennym wzajemnym obcowaniu jednostek izolacja manifestuje się w formie powszechnej zmowy milczenia. W pierwszej kolejności stosuje się ją wobec dzieci, aby od razu nie wywołać u nich przerażenia dopiero co rozpoczętym życiem, tak aby mogły zachować swe złudzenia do czasu, gdy będą gotowe na to, aby się ich pozbyć. W zamian dzieci nie kłopotczą dorosłych nieprzyjemnymi napomknieniami o sprawach płci, toalety intymnej i śmierci. Natomiast dorosłych obowiązują zasady „taktu”, których mechanizm działania możemy zaobserwować w postaci usunięcia z widoku publicznego na wezwanie policji człowieka lamentującego na ulicy.

Również mechanizm *zakotwiczenia* zaczyna funkcjonować już od najwcześniejszego dzieciństwa; rodzice, dom, ulica stają się dla dziecka czymś *oczywistym*, niosącym poczucie bezpieczeństwa. Jest to najbardziej pierwotny i być może najszcześniejszy sposób obrony przed „kosmosem”, jakiego nauczymy się w ciągu całego naszego życia, i właśnie tutaj należy doszukiwać się wyjaśnienia owego wielce dyskutowanego zjawiska „relacji dziecięcych”; pytanie, do jakiego stopnia są one zabarwione seksualnie, nie ma w tym kontekście żadnego znaczenia. Gdy dziecko w późniejszym czasie odkrywa, że owe punkty oparcia są tak samo „przypadkowe” i „przemijające” jak wszystko inne, przeżywa kryzys zwątpienia, odczuwa lęk i czym prędzej rozgląda się za nowymi punktami zakotwiczenia: „jesienią pójde do gimnazjum” – myśli, uspokajając samo siebie. Jeśli z jakiejś przyczyny nie dochodzi do owego przejścia, kryzys albo przybiera niefortunny obrót (mogący nawet zakończyć się śmiercią), albo też doprowadza do zjawiska nazywanego przeze mnie „spazmami zakotwiczenia”: człowiek trzyma się kurczowo swych martwych wartości i ze wszelkich sił stara się ukryć, tak przed sobą samym, jak i innymi, że w sensie duchowym przestały one być skuteczne. Rezultatem są: nieustanna niepewność, „poczucie niższości”, nerwowość i nadkompensacja. Tak długo, jak stan ten podpada pod pewne kategorie, staje się przedmiotem terapii psychoanalitycznej, której celem jest przejście ku nowym punktom zakotwiczenia.

Zakotwiczenie można opisać jako proces stabilizacji punktów wewnątrz lub wznoszenie murów dookoła płynnego chaosu świadomości. Zazwyczaj zachodzi to nieświadomie, ale może też być w pełni uświadamiane (ktoś „obiera sobie jakiś cel”). Zakotwiczenia z rodzaju tych przynoszących powszechny pożytek spotykają się z sympatią innych, a ten, kto „całkowicie poświęca się” swemu zakotwiczeniu (firma, jakaś sprawa), jest stawiany jako wzór do naśladowania. Wzniósł on potężny bastion przeciwko siłom rozpadu życia, a inni poprzez sugestię czerpią siłę z jego mocy. W formie zbrutalizowanej i jako świadome działanie można to zaobserwować w przypadku „hulaszczych” sybarytów. „Człowiek powinien się ożenić w odpowiednim czasie, a wtedy ograniczenia same się pojawiają”. Tym sposobem konstruuje się w życiu pewną potrzebę, wedle własnego mniemania sprowadzającą na człowieka oczywiste zło, ale za sprawą tego wybiegu uspokajają się nerwy, tworząc wysoki bastion służący do przetrzymywania uczuć, które stały się stopniowo coraz bardziej odrażające. Ibsen, w postaciach Hjalmara Ekdala

i jego sąsiada Molvika, ukazuje kwitnące tego przykłady („życiowe zakłamanie”).

Każda kultura jest wielkim i komplementarnym systemem zakotwiczenia, zbudowanym na filarach nośnych utworzonych z fundamentalnych idei kulturowych. Przeciętny człowiek opiera budowę swej osobowości na zastałych filarach kolektywnych, natomiast człowiek obdarzony charakterem wykańcza swą konstrukcję na własną rękę. Jednakże nawet on, w mniejszym czy większym stopniu, opiera swą budowlę na podstawach kolektywnych (Bóg, Kościół, państwo, moralność, los, prawa życia, lud, przyszłość). Im bliżej pewien element owej struktury spoczywa na podstawowych elementach nośnych całej konstrukcji, tym większe niebezpieczeństwo jego naruszenia. Poprzez tworzenie praw i stosowanie kar (inkwizycja, cenzura, postawy konserwatywne) ustanawia się bezpośrednią instancję, której zadaniem jest ochrona fundamentów i ścian nośnych gmachu kultury. Siła nośna każdego poszczególnego członu polega na tym, że albo jego fikcyjna natura nie została jeszcze dostrzeżona, albo też na tym, że pomimo odkrycia owej fikcyjności uznaje się ją za całkowicie niezbędną. Stąd też nauczanie religii w szkołach, popierane nawet przez ateistów niewidzących innych środków wdrożenia dzieci w społeczne schematy postępowania aniżeli wiara.

Wraz ze stopniowym dostrzeżeniem fikcyjności czy też zbędności owych członów niezwłocznie dokonuje się zastąpienia ich nowymi („ograniczony czas życia prawd”) – stąd też pochodzi cała owa duchowa i kulturowa walka, która wraz ze współzawodnictwem ekonomicznym tworzy dynamiczny przebieg dziejów świata. Pożądanie dóbr materialnych (władza) nie jest w aż tak dużym stopniu stymulowane przyjemnością płynącą z posiadania bogactwa, bo przecież nikt nie jest w stanie siedzieć na więcej niż jednym krześle równocześnie czy też jeść ponad granicę przesytu. Życiowa wartość fortuny polega w większej mierze na tym, że jej właściciel dysponuje szerszym wachlarzem możliwości zakotwiczenia i rozpraszania się.

W odniesieniu do zarówno kolektywnych, jak i indywidualnych form zakotwiczenia obowiązuje zasada, że w momencie gdy jeden z członów ulega zniszczeniu, następuje kryzys, tym głębszy, im bardziej istotna warstwa została naruszona. W życiu osobistym, w obrębie którego człowiek broni się poprzez wzniesienie wokół siebie wałów obronnych, kryzysy tego rodzaju są codziennymi i zazwyczaj pozbawionymi bólu zdarzeniami („rozczarowaniami”); nawet tutaj daje się jeszcze zaobserwować igranie z wartościami kotwiczącymi (dowcip, żargon, alkohol). Ale podczas tego

typu gierek istnieje niebezpieczeństwo, że wydrąży się dziurę sięgającą aż do samego dna i nagle, w jednej chwili, sytuacja z lekkomyślnej zabawy przemieni się w makabrę powodującą nieodwracalne obrażenia. Lęk egzystencjalny spogląda nam prosto w oczy, nabieramy śmiertelnego oddechu i dostrzegamy, że rozum zwisa już tylko na cienkiej nitce, zawieszony ponad otchłanią piekła.

Wymienić owe podwaliny, nie wywołując przy tym ogromnych spazmów społecznych i groźby całkowitego rozpadu (reformacja, rewolucja), udaje się niezwykle rzadko. W takich czasach indywiduum pozostawione zostaje samemu sobie oraz własnym zdolnościom zakotwiczenia i wzrasta liczba osób niepotrafiących poradzić sobie z zaistniałą sytuacją. Rezultatem tego są depresja, ekscesy, samobójstwa (niemieccy oficerowie po I wojnie światowej, chińscy studenci po rewolucji).

Inną słabością systemu jest fakt, że jego różnorodne, potencjalnie niebezpieczne momenty muszą być często ugruntowane na filarach o zupełnie odmiennym charakterze. Kiedy więc każdy z poszczególnych członów zostaje logicznie rozbudowany, w końcowym rezultacie może dojść do kolizji sprzecznych ze sobą sposobów rozumowania i odczuwania. W powstałe tym sposobem szczeliny z łatwością może wśliznąć się rozpacz. W takich wypadkach jednostka może zostać opanowana przyjemnością płynącą z destrukcji – z rozkosznym przerażeniem niszczy cały ten sztuczny aparat myślowy mający na celu ochronę jej życia. Przerażenie jest wynikiem utraty wszystkich ochronnych wartości życiowych, natomiast rozkosz ma swe źródło w bezwzględnym utożsamieniu się i poczuciu harmonii z najgłębszymi tajemnicami skrytymi w głębiach naszej istoty: ze swą biologiczną niestabilnością i trwałą skłonnością do zagłady.

Zakotwiczenie darzymy miłością za ratunek, jaki nam przynosi, równocześnie nienawidząc go za ograniczanie poczucia naszej wolności. Dlatego też w momentach przyływu mocy odczuwamy radość, gdy w akompaniamencie muzyki składamy do grobu wartości, które stały się przeżytkiem. Przedmioty materialne zyskują tutaj znaczenie symboliczne (radykalne podejście do życia).

W chwili gdy jednostka zdołała unicestwić wszelkie znajdujące się w niej zakotwiczenia, jakże była w stanie wyśledzić, tak że pozostały już tylko te nieświadome – zaczyna uważać się za całkowicie wyzwolonego człowieka.

Innym, bardzo popularnym środkiem obronnym jest *rozproszenie*. Cała uwaga skoncentrowana zostaje w obrębie pewnej krytycznej granicy, a dzieje się to przez nieustanne zaabsorbowanie wrażeniami pochodzącymi ze świata zewnętrznego. Jest to postawa typowa już w okresie dziecięcym; bez mechanizmu rozproszenia dziecko staje się niezdolne samo dla siebie. „Mamo, czym mam się teraz zająć?”, to typowe pytanie słyszane z ust dziecka. Pewna mała Angielka, będąc w odwiedzinach u swych norweskich ciotek, wyszła któregoś razu ze swego pokoju i powiedziała: „No i co teraz?”. Opiekunki wykazały się prawdziwą wirtuozerią: „Spójrz na psiaka! Zobacz! O, tam, malują pałac!”. Fenomen jest nazbyt dobrze znany, aby wymagał innych egzemplifikacji. Na przykład, rozproszenie jest życiową taktyką „socjety”. Mechanizm ten można przyrównać do maszyny latającej: zbudowana jest ona z materii posiadającej ciężar, ale zawierającej w sobie zasadę napędową, która dopóki utrzymuje ją w powietrzu, dopóty pozostaje w działaniu. Silnik musi pracować nieustannie, bo samo powietrze może ją nieść tylko przez krótki czas. Pilot może ulec znużeniu, jednakże dopiero w momencie, gdy silnik zaczyna szwankować, niebezpieczeństwo staje się naprawdę realne.

Sama wspomniana powyżej taktyka jest często całkowicie uświadamiana. Jednakże rozpacz może spoczywać bezpośrednio pod powierzchnią i pojawia się czasami niespodziewanie niczym powiew wiatru, w postaci spazmatycznego szloch. Gdy wyczerpało się już wszelkie sposobności ku rozproszeniu, następuje „spleen”. Przybiera on różne formy – od łagodnej obojętności, po śmiertelną depresję. Szczególnie często do taktyki tej uciekają się kobiety, a dodatkowo, z powodu posiadania mniejszych skłonności poznawczych aniżeli mężczyźni, są przez to bardziej odporne.

Szczególną niedogodnością kary pozbawienia wolności jest odebranie więźniowi niemal wszystkich okazji do rozpraszenia. Jako że inne widoki na wyratowanie się z tego położenia są nikłe, osadzony w więzieniu z reguły znajduje się w sferze bezpośredniego zagrożenia ze strony rozpacz. Działania, jakich podejmuje się w celu odparcia zagrożenia czającego się w owym ostatnim stadium rezygnacji, mają swe ugruntowanie w samej witalnej zasadzie życia. Właśnie w tym momencie tak boleśnie doświadcza swej duszy we wszystkim, co go otacza, a jedynym motywem działania staje się kategorię nieznośność owego stanu.

Czyste przypadki skrajnej rozpacz życiowej występują najprawdopodobniej niezmiernie rzadko, ponieważ mechanizmy obronne są zarówno

wielorakie, jak i zautomatyzowane, i w pewnym stopniu działają nieustannie. Ale nawet i inne, spokrewnione z tym fenomenem zjawiska, są naznaczone piętnem śmierci i trzeba wielu wysiłków, aby utrzymać się na powierzchni życia. Śmierć przedstawia się zawsze jako ostateczne wyjście, odsuwając na bok skrywające się za nią możliwości, a i samo doświadczanie śmierci zależy od czyjegoś sposobu jej odczuwania i postrzegania. Dlatego też śmierć, jako jedno z rozwiązań, może być w zupełności akceptowana. Jeśli *in statu mortis* udaje się komuś przybrać jakąś pozę (poemat, gest, „umieranie stojąc”), czyli dokonuje się ostatniego aktu zakotwiczenia czy też rozproszenia (śmierć Åsego), wtedy los taki może wydawać się wcale nie najgorszy. Gazety, od zawsze posługujące się mechanizmem przemilczania, w każdym wypadku znajdują doskonałe powody, aby nas w jakiś sposób uspokoić – „Sądzi się, że ostatni spadek cen zboża...”.

Gdy jakiś zrozpaczony człowiek odbiera sobie życie, mówi się, że jest to *śmierć naturalna* z powodów duchowych. Współczesne barbarzyństwo „ratowania” niedoszłych samobójców zasada się na jeżącym włosy na głowie niezrozumieniu istoty egzystencji.

Tylko nieliczne grono ludzi jest w stanie poradzić sobie z tą sytuacją za pomocą różnego typu „odmian życiowych”, czy to w postaci pracy, spotkań towarzyskich, czy też rozrywek. Osoba uduchowiona wymaga, aby owe „odmiany” posiadały pewną spójność, jakąś wytyczną, prowadziły do postępu. Nic nie jest w stanie przynieść ostatecznego zadowolenia, nieustannie dąży się dalej, zdobywa nową wiedzę, robi karierę. Fenomenowi nadaje się miano „dążenia” czy też „tendencji ku transcendowaniu”. Gdy pewien cel zostaje osiągnięty, dążenie pcha nas dalej; zatem nie rozchodzi się tutaj o cel, ale o sam proces jego osiągania: nie chodzi o zdobycie jakiejś absolutnej wyżyny, lecz o wędrowanie po sinusoidalnej linii życia. Awans ze stopnia szeregowca na kaprała ma być może większą wartość przeżyciową aniżeli awans z pułkownika na generała. Wszelka podstawa wiary w „optymistyczną przyszłość” unicestwiana jest przez owo podstawowe prawo psychiczne.

Owa dążność człowieka charakteryzuje się nie tylko „dążeniem w kierunku”, ale i w równej mierze „ucieczką od”. Używając tego słowa w znaczeniu religijnym, tylko ostatnia z podanych charakterystyk okazuje się prawomocna. Na gruncie religii jeszcze nikomu nie udało się stwierdzić, za czym tak naprawdę tęskni, ale zawsze jasno zdawano sobie sprawę z tego, przed czym się ucieka, mianowicie przed owym padołem jęku, czyli swym niedającym się znieść położeniem życiowym. Jeśli to przeczucie jest

dominujące, jeżeli zalega ono w najgłębszej warstwie duszy, wydaje się wtedy zrozumiałe, że dążenia religijne odczuwa się i ujmuje jako fenomeny fundamentalne. W świetle tych rozważań, nadzieja na istnienie jakiegoś boskiego kryterium zawierającego w sobie zasadę własnego samopotwierdzenia jest naprawdę marna.

Czwarty środek przeciwko rozpaczcy – *sublimacja* – polega w większym stopniu na zjawisku przekształcenia aniżeli na zjawisku wyparcia. W niektórych wypadkach, wykorzystując zdolności stylistyczne czy też artystyczne, ból egzystencjalny daje się przetworzyć w doświadczenie warte przeżycia. Na scenę wkraczają pozytywne impulsy i wykorzystują zło do swych własnych celów, ujmując jego malarskie, dramatyczne, heroiczne, liryczne czy też komiczne aspekty.

Jest to możliwe o tyle, o ile najgorsze ostrze cierpienia zostało przytępione albo też nie zdołało jeszcze opanować całego umysłu. (Scena: Alpinista nie jest w stanie rozkoszować się widokiem otchłani, dopóki nie przezwycięży w sobie zawrotów głowy. Dopiero wtedy, i o ile zakotwiczył się w odpowiedni sposób, potrafi cieszyć się jej widokiem). Aby napisać tragedię, trzeba do pewnego stopnia uwolnić się od uczucia tragizmu i spojrzeć na nie z oddali, przykładowo, z punktu widzenia estetyki. Przy okazji oddalenie to stwarza okazję ku najdzikszym tańcom, poprzez nieustannie nowe pokłady ironii, sięgające aż po *circulus vitiosus* najbardziej żenującego rodzaju. Można wybrać się tutaj na polowanie z nagonką na swe własne ego, goniąc poprzez niezliczone rewiry łowieckie, w pełni czerpiąc przyjemność z obserwowania, w jaki sposób różne warstwy świadomości nawzajem się okłamują.

Przedłożony tu esej jest typową próbą sublimacji. Autor nie cierpi, wypełnia tylko arkusze papieru, które trafią następnie do druku.

„Męczeństwo” samotnych kobiet również wykazuje pewien stopień sublimacji – tym sposobem zyskują one w swych oczach nieco na warości.

Mimo to sublimacja jest z pewnością najmniej rozpowszechnionym z omówionych powyżej sposobów obrony.

IV

Czy jest możliwe, aby „prymitywne natury” obchodziły się bez owych spazmów i uników i żyły w harmonii z samymi sobą, czerpiąc niezakłóconą niczym radość z pracy i miłości? Wydaje mi się, że o ile w ogóle można nadać im miano ludzi, należy udzielić odpowiedzi negatywnej. Najdosadniejsze, co można powiedzieć, na przykład, o ludziach natury, jest stwierdzenie, że w pewnym stopniu znajdują się oni bliżej pięknego biologicznego ideału niż my, ludzie nie-naturalni. I podczas gdy do tej pory, pomimo wszelkich szturmów, udało nam się uratować większość z nas, dokonaliśmy tego dzięki wsparciu ze stron tych aspektów naszej natury, które pozostają rozwinięte w małym lub w przeciętnym stopniu. Owego pozytywnego fundamentu (sama tylko ochrona nie jest w stanie tworzyć życia, a jedynie zapobiegać jego zgaśnięciu) należy doszukiwać się w naturalnej zdolności dostosowawczej ciała i biologicznie użytecznej części energii duchowej¹, mając na uwadze trudności powodowane *właśnie* przez ograniczoność władzy zmysłów, słabość ciała i konieczność pracy dla własnego utrzymania i podtrzymania miłości.

I właśnie na ten ograniczony obszar, gdzie gości szczęście, rozwijająca się cywilizacja, technika i standaryzacja, wywiera coraz to bardziej deprecjonujący wpływ. W momencie gdy w procesie interakcji człowieka ze środowiskiem angażowanie dużego zasobu zdolności poznawczych staje się stopniowo zbędne, pojawia się wzrastające duchowe bezrobocie. Wartość postępu technicznego dla życia powinna być osądzana ze względu na jego zdolność do umożliwienia ludzkości zajmowania się w większym wymiarze działalnością natury duchowej. Choć granice są niewyraźne, być może to właśnie pierwsze narzędzie tnące można by podać za przykład tego typu pozytywnego wynalazku.

Każdy inny wynalazek techniczny posiada wartość życiową nie dla kogo innego, jak tylko dla samego wynalazcy; jako taki reprezentuje on rażącą i bezwzględną grabież dokonaną na całej ludzkości, pozbawiającą ją zasobów doświadczenia, i o ile wynalazek taki zostaje upubliczniony, bez względu na weto cenzury, jest to czyn, który powinien pociągać za sobą najsurowszą karę. Jednym z wielu tego typu występków jest używanie maszyn latających w celu badania nieznanymi terenów. Za jednym wandalistycznym

¹ Rozróżnienie poczynione dla większej jasności.

zamachem unicestwia się tym sposobem bogate zasoby doświadczenia, które mogłyby przynieść korzyść wielu innym ludziom – każdy przez własny mozolny wysiłek zyskiwałby dla siebie zasłużoną część².

Obecna faza chronicznej gorączki życia w szczególny sposób nacechowana jest wspomnianą powyżej okolicznością. Brak ufundowanej na bazie naturalnej (biologicznej) działalności duchowej przejawia się między innymi w intensywnym uciekaniu się do mechanizmu *rozpraszania* (rozrywka, sport, radio, „rytm czasów”). Istniejące obecnie warunki są mniej sprzyjające zakotwiczaniu – wszystkie odziedziczone kolektywne systemy zakotwiczenia zostały zachwiane za sprawą miażdżącej krytyki, a lęk, odraza, zamęt i rozpacz, jakie to zrodziło, przeciekają przez powstałe tym sposobem dziury. Komunizm i psychoanaliza (jakkolwiek poza tym nieprzy-stawalne) podejmują próby, aby poprzez wykorzystanie nowych środków jeszcze raz rewitalizować stare rozwiązania; odpowiednio czy to przemocą, czy to przebiegłością uczynić człowieka użytecznym biologicznie, usidlając równocześnie krytyczny naddatek zdolności poznawczych. Dla obydwu sama ta idea wydaje się straszliwie logiczna. Ale i tym razem nie będzie ona w stanie doprowadzić do jakiegokolwiek ostatecznego rozwiązania. Świadoma degeneracja do jakiegoś korzystniejszego, praktycznie wykonalnego minimum, może z pewnością na krótką metę uratować nasz gatunek, ale już ze swej istoty nie wydaje się możliwe, aby odnaleźć spokój w tej rezygnacji, o ile w ogóle osiągnięcie spokoju jest zadaniem wykonalnym.

V

Jeśliby doprowadzić powyższe rozważania do gorzkiego końca, rezultat będzie bezsprzeczny: tak długo, jak ludzkość będzie kroczyli kolejnymi swego losu, przekonana, że jest biologicznie predestynowana do zwycięstwa, nie da się istotnie niczego zmienić. Wraz ze wzrostem liczby ludzi i zagęszczaniem się duchowej atmosfery technika obronna będzie musiała przybrać coraz to brutalniejszy charakter.

Ludzkość nadal będzie oddawać się marzeniom o zbawieniu, potwierdzeniu i nadejściu nowego Mesjasza. Ale gdy wielu zbawców zostanie przy-

² Podkreślam, że nie chodzi tutaj o jakieś fantastyczne propozycje reformatorskie, lecz o wyraz zasadniczego światopoglądu psychologicznego.

gwoźdzonych do pni drzew oraz ukamienowanych na placach targowych, wtedy nadejdzie ostatni Mesjasz.

Pojawi się człowiek, który jako pierwszy pośród wszystkich odważy się obnażyć swą duszę i wyda ją żywcem na pastwę najskrajniejszej myśli swego rodu, będącej wyrazem samej idei upadku. Człowiek, który pojął życie u jego kosmicznej podstawy i którego cierpienie jest całym cierpieniem Ziemi. Jakież wściekle okrzyki podniosą się we wszystkich zakątkach Ziemi, domagając się jego tysięckrotnego uśmiercenia, gdy jego głos, niczym chmura, spowije cały glob i po raz pierwszy i ostatni rozlegnie się jego osobliwe posłanie:

„– Życie światów jest buzującą rzeką, a życie Ziemi jest bagnem i stagnacją.

– Znak upadku wypisany jest na waszych czołach – jak długo jeszcze będziecie wierzyć przeciwko ościeniowi?

– Ale istnieje jedno zwycięstwo i jedna korona, jedno zbawienie i jedna odpowiedź.

– Poznajcie samych siebie – bądźcie bezpłodni i pozostawcie Ziemię w ciszy po waszym odejściu”.

Jak tylko to wyrzekł, rzucili się na niego z producentami smoczków dla dzieci i akuszerkami na czele i pogrzebali go pod swymi pazurami.

On jest ostatnim Mesjaszem. Tak jak syn pochodzi z ojca, on sam jest potomkiem łuczника przy wodopoju.

*Z języka norweskiego przełożył
Andrzej Konrad Trzeciak*